

TEKA

czasopismo poświęcone sprawom młodzieży szkół średnich,

wydawane przez

młodzież akademicką.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja: **Lwów, ul. Karola Ludwika I. 1.**

Od Redakcyi.

W poczuciu spełniania obowiązku ropoczynamy wydawnictwo. — Chcemy wypełnić ten brak, który odczuwaliśmy dawniej, siedząc na ławach gimnazjalnych, a który dzisiaj staje przed nami już jako jasno sformułowane żądanie, ażeby młodzież szkół średnich wcześniej już uczyła się myśleć samodzielnie, samodzielnie pracować i samodzielnie lecz bezstronnie osądzać.

Nie chcemy i nie będziemy narzucać sądów o rzeczach, chcemy tylko podać rękę pomocną dla zdobycia możności sądenia, nie uprzedzając nikogo i nie wskazując na błyszczące, a nieme hasła. Lecz jedno słońce stawiać będziemy przed oczyma zawsze i wszędzie: Wielkie narodowe ideały. Niechaj młodzież polska będzie świadomą celu swych dążeń, i niechaj wie, że musi być rozumną, rozumniejszą od innych, jeżeli chce wierzyć w swe pięści.

Czasopismo ma się przyczynić do tego wytworzeniem ogólnego czucia pomiędzy ogółem uczącej się młodzieży, a artykuły akademickie, osób zewnątrz stojących i tych, których sprawom poświęcona jest „Teka“, mają spełnić założone zadanie.



Biblioteka Jagiellońska



1003046961

Czasopismo młodzieży.

Już od dłuższego czasu kielkowała w kołach młodzieży myśl założenia czasopisma, któreby z jednej strony skupiało młodzież i wpływ na nią wywierało, z drugiej zaś, dało poznać starszej generacji cele i dążności młodszej. Wszystkie usiłowania w tym kierunku wychodziły z łona Czytelni Akademickiej. Dzięki też tym usiłowaniom, założono w styczniu 1895. „Czasopismo Akademickie“. Po roku czasopismo upadło. I znowu po roku wskrzeszono dawne czasopismo, które wychodziło odtąd co miesiąc, aż do kwietnia 1898. Wszystkie jednak usiłowania jednostek rozbiły się o niechęć i apatję ogółu akademickiego. I to czasopismo upadło wskutek braku prenumeratorów.

W grudniu z. r. założyli nasi koledzy z Krakowa nowe czasopismo akademickie „Młodość“, które chce stanąć na czele młodzieży, nią pokierować, siłą dłońią chwyta sztandar przewodni. „Życia! życia! Niechże nam raz krew zatętni w żyłach, niech młotem o skronie odbija“. — Na nowe tedy czasopismo przypada wzniósłe zadanie rozbudzenia ducha wśród młodzieży. Zasyłamy im też najserdeczniejsze życzenia powodzenia na tej trudnej drodze.

My zaś, chcąc uzupełnić ich pracę, a raczej rzucić podwaliny pod nią, postanowiliśmy zwrócić się do naszych młodszych kolegów, do młodzieży szkół średnich.

Młodzież bowiem szkół wyższych zmienić trudno. Wychowały ich szkoły średnie, wyszli oni już z nich bez zapалу, „bez nadziei i wiary w ludzi“,

Mickiewicz powiada: „Kiedy niema ideału, nie dziwujemy się, że ludzie zasypiają, chociażby byli Temistoklesami“.

Młodzież nasza starsza jest w takim stadyum zasypiania. Kazano im, „świętości narodowe tak głęboko zamknąć w sercu i na taki zamek, aby ich nie były w stanie za każdą zachcianką otworzyć stare i wszystkim znane hasła“. — I stało się wielkie nieszczęście. Zagrzebali swe świętości, swe uczucia, schowali i zamknęli tak doskonale, że dziś nawet na wielkie narodowe święta wydobyć ich nie mogą.

My chcemy wszystkich młodych już zasypiających obudzić, wszystkich wątpiących podnieść. Chcemy stworzyć dla młodzieży wspólne ognisko, w któremby nawzajem się podnosiła i uszlachetniała, zaprawiać ją w niepodległości w zdaniu, wyrabiać

w niej silne ugruntowane przekonania i zasady, pobudzać do pracy samodzielnej i samodzielnego kształcenia i przygotowywać w ten sposób do przyszłej pracy obywatelskiej.

Powiedzą może, że cele te spełnia już w zupełności szkoła, że te same ideały ona uczniom poddaje i do spełnienia ich zachęca. Lecz tak nie jest. Jeżeli te ideały żyją w sercach młodzieży, to zasługa to osobista szlachetnych jednostek nauczycielskich, lub wpływów pozaszkolnych, rodziny, otoczenia. Dziśiejszy zaś system szkolny daje młodzieży jako jedyną pobudkę do pracy „ideał pełnienia obowiązków z miłości dla obywateli, ideał żmudnej pracy z miłości dla nauki, pełnienia powinności dla niej samej.“

Ideał to zimny, który może zapali młodzież niemiecką, nigdy jednak nie potrafi zaspokoić młodzieży polskiej. Ta bowiem po przodkach odziedziczyła przekonanie, że nad wszystkim stoi społeczność, „res publica“, a miłość do niej jedynym może być czynów motorem.

Tu zatem potrzebuje system szkolny koniecznie uzupełnienia w kierunku narodowym. Muszą wejść w życie zasady i przepisy komisji edukacyjnej, najwyższego wyrazu pedagogii polskiej. Wedle tych zasad „nauczyciel pogląda na fizyczne i moralne nauki nie inaczej, tylko jako środki prowadzące, by obywatel wiedział, co w domowej, co w pospolitej rzeczy, jako oświecony i poczciwy czynić powinien“*)

Dziś, gdy miłość „rzeczy pospolitej“, staranie o coraz większe doskonalenie się społeczne przybrało u nas konkretne cechy dążności do odzyskania samoistnego bytu narodowego, musi ta dążność być wszczepiona całej młodzieży, jako idea przewodnia całego życia, jako pobudka jedyna wszystkich czynów.

Ale przez to nie poniżamy wcale nauki. Owszem w podniesieniu umysłowem jednostek, jak również w rozszerzeniu tego wykształceniu na pierwiastki dotąd nierozbudzone i niedojrzałe widzimy uajpierwszy i najlepszy środek do osiągnięcia naszego celu i do takiej pracy z tą ideą przewodnią nie przestaniemy kolegów naszych nawoływać.

Jeżeli zaś zważymy, że jakakolwiek praca nad udoskonaleniem wewnętrznem bez pobudki zewnętrznej, bez idei odbyć

*) Piramowicz w Mowie w dzień rocznicy otwarcia towarzystwa do ksiąg elementarnych dnia 7. marca 1781 roku.

się nie może, gdyż samo poczucie potrzeby doskonalenia się tylko przez pracę się rozwija, to pojmiemy dopiero ogromne znaczenie idei dla życia jednostki, dla życia całego narodu. Znaczenie jej scharakteryzował najlepiej Mickiewicz w wykładach literatury słowiańskiej. „Tatar“, mówi on, „je daleko mniej, niż chłop słowiański, a jednak nie słaby; Trapięta pości jeszcze bardziej od Tatarów i mimoto ma się dobrze. Żołnierz francuski nie lepiej jest karmiony, jak robotnik, a przecież wygląda czystwiej i rzeświej od robotnika. Odbierz trapięta wiarę w przyszłe życie, a obaczysz, że za kilka dni umrze z wycieńczenia; niechby w Tatarach znikła cześć, jaką mają dla swojego chana, nie zdołaliby wytrzymać nawet ostrości powietrza, pod jakim żyją. Zniszcz w żołnierzu francuzkim ideę honoru, zagaś w duszy jego ten płomyk patriotyzmu, który go ogrzewa i podnosi, a wnet poczniesz usychać z biedy“.

Powtarzamy więc za Mickiewiczem: Dajcie młodzieży ideę, a porwie się do walki z największymi trudnościami i, choćby paść miała, zwycięży wszystko i dojdzie do celu.

Przeciwnie młodzież bez idei, to zwichnięcie od razu wszystkich nadziei i marzeń, to śmierć narodu. Możliwość tego przypuścił jedyny z naszych wieszczów Słowacki, który się obawiał, że, jak tylko umilknie harfa cudu, poezya, gdy pieśń ścichnie,

„i krew oziębnie znowu,

I znów się staną z was pełznące węże,

Aż rzucą was do mogilnego rowu,

Gdzie z zimnych jak wy serc się hańba leże!“

To też trzeba pracy usilnej i ciągłej, by do tego „oziębnięcia krwi“ nie dopuścić.

Koledzy! Wierzmy, że w naszych usiłowaniach, w tym kierunku podjętych, znajdziemy u Was poparcie. Niechęć, lub zła wola w naszej pracy nas nie powstrzymają. Powstrzyma nas tylko to, jeżeli u was, Koledzy, tego poparcia nie znajdziemy, nie obudzimy tego zapału, na jaki liczymy.

Tu chcemy jeszcze odpowiedzieć na kilka zarzutów, które nawet ze strony ludzi dobrej woli spotkaćby nas mogły.

Pierwszym, zaraz się nasuwającym zarzutem jest: czy czasopismo takie, którego współpracownikami będzie głównie sama młodzież, nie będzie jej odrywało od zajęć obowiązkowych, od nauki. — Tym, którzyby taki zarzut postawili, przypomniećby należało tę starą zasadę pedagogiczną, jeszcze przez Gedikego,

ojca dzisiejszych gimnazyów postawioną, że „tylko własnem usiłowaniem zdobyta wiedza staje się niespożycie trwałą duszy własnością“. A praca nad czasopismem będzie właśnie wyrazem takiej osobistej, samodzielnej, własnowolnej pilności, która jest daleko lepszą rękojmią przyszłości danego osobnika, niż zapas wiedzy bez należytego z jego strony współdziałania w głowę jego wpakowany.

Powiedzą może dalej, że to jeszcze zawcześnie, aby młodzież najwyższych klas szkół średnich, (gdyż na nią jest nasze czasopismo obliczone), miała samodzielnie myśleć, zajmować się kwestyami naukowemi, społecznemi i narodowemi, że jeszcze czas na gruntowanie swoich przekonań.

Zarzut taki, gdyby się pojawił, dowodziłby najzupełniejszej nieznajomości stosunków. My wiemy, że ze szkół średnich przychodzą do nas koledzy prawie zawsze z pewnym zasobem przekonań, których już potem rzadko co zmienić zdoła. Możemy również zaręczyć, że nigdzie gwałtowniej i goręcej nie są rozbierane najpoważniejsze kwestye społeczne, jak właśnie w kołach tej młodzieży; tam bowiem cała młodzież z najrozmaitszych warstw, o różnych sposobach myślenia, razem jest zebrana, podczas gdy później układa się w pewne grupy, w których różnica zapatrywań już nie tak jaskrawie występuje.

Z pewnością więc lepszą jest rzeczą wskazać młodzieży drogę wśród tych różnych prądów, przeprowadzić ją odważnie przez nie, wpłynąć na wyrobienie samodzielnego sądu, niż zamknąć oczy i wmawiać w siebie, że wszystko dobrze, bo młodzież „śpi spokojnie“.

Powiedzą może, że zadanie to spełniają dostatecznie dotychczasowe pisma „dla młodzieży“. Lecz czasopisma te w rzeczywistości nie rozumieją zupełnie młodzieży, nie wchodzą w jej rzeczywiste potrzeby, bo kierowników ich zbyt znaczna przestrzeń od młodzieży oddala, sama zaś młodzież nie ma w nich żadnego udziału, ani wpływu. A przecież młodzież ta ma także swoje sprawy, zajmuje pewne stanowisko, ona myśli i krytykuje i męczy się temi myślami i szarpie i dręczy. Tu proste tylko wyjaśnienie sprawy wiele dobrego robi, wiele niechęci, sporów usunie, wiele załagodzi.

W naszym czasopiśmie znajdzie ta młodzież zawsze obronę swych słusznych interesów, znajdzie bratnie, młode serca, pełne prawdziwej życzliwości i gorącej chęci dopomożenia jej w trudności, w przewycięzaniu przeszkód.

Więc do pracy koledzy! Macie głos, możecie teraz przemówić! Od was zależy korzystanie z niego. Niech w rękach każdego starszego, poważniej myślącego kolegi będzie to czasopismo, jedyne czasopismo, koledzy, „poswięcone sprawie młodzieży szkół średnich“! Niech te kartki przyczynią się do połączenia was między sobą i z nami w jedną świadomą swego celu całość, nawzajem się podnoszącą i uszlachetniającą, gotową na wszelkie prace, trudy i walki — dla idei.

Zygmunt Miłkowski (T. T. Jez) do młodzieży.*

...Nic mnie żywej i mocniej nie obchodzi, aniżeli młodzież polska, wobec której czuję się w pewnym stopniu do praw ojcostwa i z praw tych mam zwyczaj korzystać, ile razy mi się sposobność nadarza...

Zdaniem mojem, młodzież ma nie tylko prawo, ale nadto i potrzebę wypowiedzenia poglądów i aspiracji swoich; z drugiej zaś strony publiczności pozaszkolnej — obywatelstwu krajowemu — dobrze zrozumiany interes nakazuje wiedzieć o kierunkach i prądach wśród młodzieży nurtujących. Zysk stąd obie odnoszą strony, oświadczając się wzajemnie, a zarazem wywierając na siebie wpływ, który w każdym razie pożytek niesie. Pokolenie dojrzałe uzyskuje możliwość kontrolowania pokolenia dojrzewającego i regulowania jego popędów, to zaś ostatecznie służy za rodzaj ostrogi, popędzającej naprzód i nie dopuszczającej drzemania w zastoju. Z tego względu w interesie własnym publiczność popierać i podtrzymywać winna organ, w którym się młodzież przed nią spowiada.

Są tacy, co ustnem i pisanem słowem wyrażają zdanie, że nie młodzieży jest rzeczą w publicystykę się bawić — że to jej w naukach przeszkadza. Zdania tego nie podzielam. Pomiędzy nauką, a publicystyką zachodzi łączność bliska i bezpośrednia, jak pomiędzy nauką, a życiem, do którego sposobi się młodzież w zakładach naukowych. Młodemu człowiekowi bynajmniej w uczeniu się przeszkadzać nie może, jeżeli się parę razy na semestr zdobędzie na opracowanie, wychodzące poza zakres

* Jest to wyjątek z prywatnego listu pisanego z Genewy 6. lutego 1898. Za pozwoleniem autora tutaj go umieszczamy. (Przyp. Red.)

ćwiczeń obowiązkowych. Gdyby się tem nie zajął grałby w karty -- co lepsze?..

Niech się więc młodzież odwraca od kart, od kieliszka, od podwiki, ale niech się nie odwraca od publicystyki, chociażby się na tem polu z niedorzecznością niekiedy wyrwać miała. „Nie będzie dobrze, póki nie będzie źle“.

A nie będzie źle, jeżeli młodzież aspiracye swoje i dążenia zwróci do szlachetnego, wzniosłego, warunkom dobra i piękna odpowiadającego ideału.

Ideał taki młodzieży polskiej przyświeca, nie schodząc z horyzontu od stu z dużym okładem lat.

Stefan Batory gdy wysłuchał zadawalniającego popisu pewnego żaka: *Disce puer, faciam te mości panie* — rzekł do niego. Młodzi Francuzi, Niemcy, Włosi, Anglicy, Szwajcarowie i i. uczą się dla „mościpanie“, t. j. dla chleba, dla karyery, oczekującej na nich na drodze służenia nauką ojczyźnie. Nauka przedstawia się im, jako narzędzie, i cała ich troska na doskonaleniu tego narzędzia polega. Ojczyzna, wyobrazicielka geniuszu opiekuńczego narodu, będąca zawsze ideałem, ale ideałem urzeczywistnionym, nie wymaga od nich czego innego. Dla młodzieży polskiej troska na tem się nie kończy i nie tem się tylko ogranicza. Młody Polak „źle się bawi“, gdy „do starca bieży, co mu dumy pieje“, gdy pilnie słucha, „kiedy mu przodków powiadają dzieje“. Źle się bawi — i dla tego, ażeby go na drogę bawienia się „dobrze“ naprowadzić, przedsięwzięto w czasach ostatnich zohydzić mu dzieje ojczyste, urobić w nim wzgardę i nienawiść do przeszłości Polski. Wytworzyło to dla młodzieży polskiej trudne nad wyraz położenie. Następstwa onego wyraziły się dwojako: w kierunku dobijania się kariery na drodze uprzystępnionej i w kierunku torowania dróg nowych, ponętnych, bo ze słyszenia jeno (z teoryi książkowych) znanych. Obydwa te kierunki, jeżeli ideału ojczyzny nie wykluczają, to dają mu miejsce.. z łaski — raczą na drogach swoich Polskę uwzględniać. Zadaniem przeto młodzieży, zadaniem, za które ona niej odpowiedzialność cięży, jest oddziaływanie przeciwko kierunkom tym, myślą, mową i uczynkiem, stawianiem ideału ojczyzny w całej jego świętości i świetności, tem jaśniejszej i świętszej, że podlewa go morze krwi ofiarnej, że stoi na stosie kości bojowników, w obronie jej poległych. Na całej kuli ziemskiej, gdzie jeno szkoły istnieją, cała młodzież dla ojczyzny się uczy. Młodzież polska uczyć się dla niej powinna z po-

dwójnym zapałem i ze zdwojoną gorliwością i nie spuszczać jej z uwagi ani na jedno oka mgwienie.

Mysleć o niej, mówić o niej, uczyć się dla niej, pracować dla niej, żyć dla niej i, w potrzebie, umrzeć za nią: oto młodego Polaka zadanie — zadanie, którego, gdy organ jego wyrazem będzie, oddziaływanie przeciwko kierunkom odstępczym nastąpi samo przez się.

29. listopada 1830/31.

Szara, ponura pora listopada,
W pół nagie drzewa stoją smutne, czarne,
Ostatni złoty liść na ziemię pada
I na kourach tylko kawki gwarne
Siadają stadem. Wiatr po polach tańczy,
Chwyta liść zeschły, kręci nim dokoła,
A potem drogą, jak stado szarańczy
Pędzi hen w pole i płacze i woła,
I lka, i ciągnie swój szalony taniec
Ten rozkiełzany wicher — zimy wysłaniec.

Ale był jeden listopad przed laty...
O długo wtenczas drzewa w liściach stały,
I wiatr oszczędzał ich złociste szaty,
I ptaki w podróż swoją uie leciały.
Ziemia myślała, że po tej jesieni
Rozkoszna wiosna chmurną zimę zmieni:
Bo zadrgnął naród pod wiekiem swej trumny
I męzną dłonią zwałił głąz mogiły,
I powstał śmiały, bohaterski, dumny...
Zatargał pęta i — legł w obec siły...
A z hukiem opadł znowu grobu kamień.
W grobie legł naród, odarty przez wroga
Z resztek wolności. Po chwilach omamień
Nastąpiła zima rozszalała, sroga,
I tylko śnieg jej nie tak był już biały, —
Bo krwią zbrzygany; a śnieżne płaszczyzny

Północnych stepów Sybiru topniały
Od łez wylanych po stracie Ojczyzny.
Wiatr dalej tańczył, wyjąc pieśń żałoby
I sypał złoty liść na świeże groby.

Ale o wolność gdy się walka wznieci,
To ze krwią ojców przechodzi na dzieci...
Myśmy ich dziećmi! przez nich w nas się wryła
Miłość wolności wielka, trwała, taka,
Że jej nie wydrze żadna ludzka siła,
Bo ona wiarą, krwią, życiem Polaka!
Jej nie wypłeni biczem, ni żelazem,
Nie wyrwie z serca, chyba z sercem razem!

Czyście widzieli gdzie nadbrzeżną skałę,
Co zimna, pyszna w niebo wznosi czoło,
A u stóp skały ciche fale małe
Szemrzą, że głazy ściskają je w koło
I pozbawiają światła, słońca, tęczy.
Skarży się fala, kołysze, drży, jęczy,
W końcu się burzy, gromadzi w bałwany
I bije w skałę. Dmie wiatr, piorun błyska,

Mokra pierś fali o głaz się rozciśka
I z głuchym jękiem, zbielała od piany
Cofa się fala — rozbita, złamana,
A wiatr grzmi skale: wygrana! wygrana!

Ale znów fale zbierają się gwaro
I podmywają opoki podnoże:
Zwolna, cierpliwie gryzą skałę czarną,
A gdy czas sprzyja, nowe wnoszą burze!
Podmyta skała nie wytrzyma fali,
Chwieje się, słania, pękają granity,
Jeszcze szturm jeden, a skała się wali
Z hukiem na ziemię: naprzód tuman wzbity,
A potem słońce, — z nim jasność świetlana...
A wiatr grzmi fali: wygrana! wygrana!

Hej! jak te fale, podmyjmy posady
Krwia i niewolą zbroczonego państwa
I bez wytchnienia wznawiajmy napady,
A gdy czas przyjdzie, — walmy pierśią, czołem,

Stańmy się w walce, szatanem, aniołem,
Póki nie runie ta skała tyraństwa,
A wiatr nie zagrzmie: wygrana! wygrana!
A nam najwyższą nagrodę — to rana
W boju, bagnetów w pierś stalowe grotty,
Grób w swojej ziemi, drzew nad grobem gwary,
I znów jesienią jeden listek złoty
I szczytne imię: „za wolność ofiary!“

(*Polak*).

X.

Kuba - dzwonnik.

I

Stara dzwonnica w Brominie, wznosząc się tuż obok świątyni pańskiej, dziwny z nią stanowiła kontrast.

Kościół, odbudowany po pożarze pod koniec wieku 18-go, zmienił się architektonicznie, dzwonnica pozostała, jaką była.

Bromińscy, którzy hołdowali nowym prądom i smak swój wyrabiali w stolicach Europy, nadali mu cechę baroku. I dziwnie wyglądał ten kościół na wsi, wielki, kamienny, z pretensjonalną fasadą i bogatą, przesadną ornamentacją, na tle zielonych brzoź cementarza i w otoczeniu poczerniałych krzyżów, strzegących wiejskich mogił. A obok niego dziwniej jeszcze wyglądała ogromna, ciosowa dzwonnica, spowinowaccona ze starym wiślano-bałtyckim gotykiem, który przed pożarem wspaniale i uroczyście stał na tem miejscu.

Była w tej dzwonnicy na dole izba o jednym małym okienku, a jego sześć szybek rozświetlonych robiło o zachodzie słońca wrażenie doskonałego witrażu.

Na górze — wisały trzy dzwony. Po środku dzwon wielki, pękaty, dwa inne nieco wyżej, na jednym poziomie z sobą symetrycznie zawieszzone, smuklejsze, niby młodsze pokolenie u boku starca.

Wielki dzwon nosił imię Floryana. Na randzie miał napis wyraźny: me fecit Florianus. a. D. 1540. Stary był, zielony i spokojnie drzemał sobie, zawieszony na ciężkiem, modrzewiowem belkowaniu. Przez otwory, których było ośm — po dwa na każdą świata stronę — wpadał do dzwonnicy wiatr

i huczał między dzwonami, wył i świstał, ale głosu ze spiżu wydobyć nie umiał.

Potrafił to jeden tylko Kuba, kulawy dzwonnik, który od lat 30 z górą zamieszkiwał izbę na dole i wyhodował tyleż pokoleń jaskółek, bo te co roku z zaufaniem przylatywały do starej dzwonnicy na komorne i wśród misternego jej belkowania wiły sobie gniazda.

Kuba miał lat 60. Nie wyglądał jednak na tyle. Siwy z przyszyroną krótko czupryną i wygolony z krakowska „na czysto“, bez brody i wąsów, robił wrażenie jędrnego, czterdziestokilkolletniego człowieka. Nosił się porządnie i czysto. Miał buty wysokie, spodnie w paski białe z niebieskim, z materiału, przypominającego kiecki niewiast i zapaski dziewczuch bromińskich, koszulę zgrzebną, ale wypraną zawsze i czerwoną tasiemką u szyi związaną, na niej kamizelkę długą, na dwa rzędy guzików, a na głowie kaszkiet, trochę już wytarty, ale pamiątkowy, bo kupiony w Częstochowie, na odpuszcie. Tam Kuba raz w życiu, mimo kulawej nogi odbył pielgrzymkę, aby Najświętszej Pannie skargi swojego serca zanieść i wymodlić sobie przed Jej cudownym obrazem przebaczenie dla grzesznej duszy. Od owej pory był Kuba wesół i, jak mówił, gotów na śmierć: największy grzech żywota na odpuszcie zgładził, a z resztą — to i na spowiedzi ostatniej Dobrodziej da sobie radę...

Tedy tylko Kuba jeden potrafił dzwonić we Floryana. I nie dzwonił on, ale grał na tym dzwonie. Na dziesięć parafij w koło nie było takiego drugiego dzwonu, nie było i takiego dzwonnika.

Kiedy na pogrzeb Kuba zadzwonił, to w tem dzwonienu ostatniem, które żegnało człowieka, odchodzącego z tej ziemi, był ból i płacz, były jakieś łkanie dziwne i przejmujące. Tak wdowa płakała po mężu, chłop opłakiwał tak kobietę, gospodynią i towarzyszkę wierną.

A gdy na chwilę Floryan umilkł, wtedy uderzał Kuba jednocześnie we dwa dzwony mniejsze: głosy ich były, jak płacz sierot po matce, co się gdzieś w głąb duszy wwierca i w każdej budzi piersi współczucie i litość nad dolą sierocą.

Miał Kuba swoje sposoby dzwonienu, których nikt prócz niego nie znał. Wiedzieli tylko wszyscy, że inaczej dzwoni na gloria w Wielki Czwartek, inaczej uderza w dzwon podczas sumy Wielkanocnej, inaczej w zwykłą niedzielę. W święta Matki Boskiej dzwony jego także miały specjalne swoje granie, a wie-

czorami na wiosnę, przed majowem nabożeństwem, jeszcze inaczej wygrywał na nich. Ponad runią zbóż zielonych biegły wtedy takie delikatne, pieszczące tony, że ludzie w polu stawali zasłuchani, upojeni jakby słodyczą tych brzmień, co się przez powietrze niosły, rzucali robotę — i dziewczki od pielienia, a chłopci z pól jarych wracali do domu i szli do kościoła śpiewać litaniję.

Miał też Kuba swoje dni, w których dzwonił bez powodu, jak mawiał. Było ich kilka do roku.

Nieraz, słysząc takie dzwonienie, zapytywał go proboszcz:

— Mój Kubo, czemu to ty grasz dzisiaj? mówił, podchodząc pod dzwonnice.

Wtedy dzwon przestawał się kołysać. Uśmiechnięta, jasna twarz Kuby ukazywała się w jednym z otworów i odpowiadał:

— Ot, tak przyszło — Panu Bogu na chwałę...

Miał jednak Kuba powody, tylko nie mówił o nich, bo to było podzwonne wielkie i święte dla niego...

Grał czwartego kwietnia za poległych pod Raclawicami. Tam pradziad jego z kosą w ręku został i kiedy Kuba był chłopcem jeszcze małym, dziad mu zimą przy komiunie opowiadał, jak go tam znaleziono pod pniem starej, obalonej sosny, rozszarpanego przez granat moskiewski... Za niego i za tych wszystkich, co z nim razem legli, grał Kuba...

Grał w dzień bitwy grochowskiej, bo tam aż czterech z Bromina pod olszyną zostało...

Grał, wreszcie, za tych, co pod Langiewiczem w Śto Krzyżkiem walkę prowadzili, grał za swoich kamratów z pod Miechowa i Małogoszczy i za tych, co pod Bromińską dzwonnice, — pod tą samą, — zostali niegdyś po krwawej potyczce. Wtedy i jemu zbłąkana kula moskiewska kość w goleni strzaskała, wylizał się jednak po to, aby był dzwonnikiem i za tych poległych dzwonił — ludziom na pocieszenie, a duszom ich na chwałę...

I dzwonił Kuba, jak mistrz prawdziwy, przez lat tyle. Łzy ludziom z oczu wyciskał, poprawiał ich i otuchy im dodawał — nie słowem, nie nauką, jeno tem dzwonieniem swoim. Było to, jakby apostołstwo jakieś przez dzwony, symboliczne, tajemnic pełne, niezrozumiałe dla nikogo w idei, ale bogate wydające owoce, bo Kuba dzwonił ludziom z duszy i prosto do duszy...

II.

Był właśnie dzień kwietniowy, rocznica wielkiego dnia pod Racławicami.

Kuba pamiętał o tem od rana. Po mszy długo leżał krzyżem w kaplicy Śgo Stanisława biskupa, bił się w piersi, szlochał, wzdychał i z nabożeństwem usta do zimnej, kamiennej posadzki przykładał, zebrząc o zmiłowanie i łaskę dla ziemi, łez pełnej...

Potem poszedł do dzwonów. Obejrzał je i, zadowolony widocznie z ich stanu, zeszedł na dół, do izby, gdzie się przebrał odświętnie, a że się już ku obiadowi miało, wyruszył na plebaniję.

Zjadł, co mu dali, zakurzył krótką fajeczkę gliwianą, rozparł się wygodnie na ławie i milczał.

Nie brała go ochota do pogawędki z kucharką księżą. Chłop mowny zazwyczaj, siedział teraz, ani ust nie otwierając. Dumy tylko jakieś szły mu przez głowę i po oczach znać było, że mu się dusza czegoś raduje.

Po chwili jednak wstał. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Coś mu w ucho szeptało, aby już szedł na dzwonnice...

— Czas, czas zaczynać, mówił sobie.

Pożegnał kucharkę i wyszedł. Skierował się ku kościołowi. Na cmentarzu ziemia była wilgotna, rozmiękła. Bił od niej zapach, drażniący nozdrza, silny, świeży. Żdźbła młodziutkiej trawki zaczynały ledwie wyścibiać główki, brzozy białokore stały jeszcze bez liści, ale gałązki ich pokryte już były nabrzmiałymi pączkami, które lada dzień miały się rozwinąć.

Kuba szedł, z lubością wciągając w płuca powietrze dnia wiosennego. Ciepły wiatr, idący od pól dalekich, łagodną falą w twarz mu uderzał, słońce grzało go w plecy, niewysłowioną jakąś rozkosz starym sprawiając kościom. Dobrze mu było i spokojnie w tej chwili — na cmentarzu, w otoczeniu tych mogił, które znał od dziecka niemal, pośród tych krzyżów prostych, w rozmodleniu dziwnem i w melancholji wyciągających ramiona ku niebu, jakby na przebłaganie za grzechy ludzkie...

Przysiadł Kuba na ławeczce i myślał, myślał o tych krzyżach namogilnych. Tyle ich tu było, i starych i nowszych. I jemu tu kiedyś także krzyż postawią, niedługo już może. Każdy ma przecież swój krzyż... Przez życie dźwiga go na sobie, ugięna się pod nim, a kiedy do mogiły zejdzie — złoży ten ciężar,

z którym szedł i wówczas krzyż mu wkopią — tam, gdzie w poświęconej ziemi miejsce się dla niego znajdzie...

Długo przesiedział tak Kuba w zamyśleniu, bo dobrze już słońce ku zachodowi się chyliło, kiedy proboszcz, drzemiący w fotelu, obudził się nagle.

— Sen, czy jawa? myślał, przecierając oczy.

W uszach dzwięczały mu pełne, doskonałe tony Floryana.

Szły jeden za drugim, nabrzmiałe bólem i prośbą. W rozjęczeniu ich była rozpacz niemal i zarazem wielka, chrześcijańska pokora, coś szarpiącego duszę aż do głębi i jednocześnie niezmierna słodycz jakaś, ucieszenie i łagodność...

Zerwał się ksiądz na równe nogi i słuchał.

Tak Kuba nigdy jeszcze nie grał.

— Czarodziejstwo, czy co takiego? szeptał zdumiony. Słyszał to kto? Z jednego dzwonu tyle wydobyć...

A dzwon tymczasem huczał i jęczał, płakał i modlił się dalej.

Przez otwarte okno wpadały do pokoju fale rozkołysanego brzmieniem tej dziwnej muzyki powietrza. uderzały o ściany, o sufit, całowały stopy Chrystusa na krzyżu, co wisiał nad kłęcznikiem, układały się warstwami w całym mieszkaniu i drżały, drżały ciągle głosem tajemniczym, który aż gdzieś w nieskończoności ginął, cichł, rozpływał się, w jasności jakiejś mistycznej potniał.

— A bogdaj go! myślał proboszcz, ale słuchał i nie mógł się nasłuchać.

Wyszedł nareszcie z plebanii i podążył w stronę dzwonnicy.

Kiedy się zbliżył do starych jej murów, przystanął. W tej chwili muzyka przycichła. Ostatnie uderzenia rozkołysanego serca o spiz dzwięczało jeszcze długo, przeciągle, niby orkiestra najsubtelniejszych smyczków, grających unisono jakąś melodyę sfer zaświatowych, zamierającą zwolna, nieuchwytnie. Ale nim brzmienie ostatnie dogasło, dzwon uderzył znowu silnie, potężnie...

Mury rozdzwięczały się drugą pieśnią, inną. Była ona jak psalm pogrzebu, — tylko nie beznadziejny, ale mocny, jakby męską śpiewany piersią, niby hołd i pożegnanie, złożone bohaterom...

Ksiądz spojrział ku górze. Przez otwór widać było kołyszącą się dzwon. Kuba jednak nie zobaczył.

— Gdzie on się ukrywa? pomyślał.

Zdjęła go w tej chwili gwałtowna chęć wejścia do kryjówki dzwonnika. Ciekawość nie pozwoliła mu już spokojnie słuchać. Chciał teraz zobaczyć, jak Kuba gra, jakich fortelów używa, żeby takie głosy różne ze starego dzwonu wydobyć, jaką siłą ciężar taki porusza?

Zakasał sutannę i wszedł przez chwiejącą się na zawiasach furtę do wnętrza. W pomroce namacał ręką schody. Po wązkich, krętych stopniach dostał się na górę. Było tam nieco widniej, ale i tu Kuby nie dojrzał. Widział tylko, że dzwon się kołysze. Huczał mu w uszach potężny jego głos, czuł, że całe belkowanie dzwonnicy drży od tej muzyki, dostrzegł nawet, jak trzęsą się wątle pajęczyny, wiszące u pułapu — Kuby tylko nie widział...

Wtem w ucho wpadł mu głos czerstwy, głos starego dzwonnika...

— Za naczelnika, za Kościuszkę...

I dzwon uderzył mocniej jeszcze, niż przedtem.

Bboże! Bboże! Bboże! zahuczało w całej dzwonnicy potrzykroć.

Księdzu zdawało się, że to nie dzwon woła, ale że mocny głos ludzki, poważny, jak w chwili, kiedy się „wieczne odpoczywanie“ mówi, z niewidzialnej, potężnej, jak u tytana piersi, ku niebu się wrywa...

Zdumiony, rozejrzał się do koła.

Postąpił dwa kroki naprzód i zobaczył...

Kuba, rękoma zaczepiony o belkę, na której dzwon wisiał, objął nogami spiżowe cielsko i z całym impetem kołysał się — razem z belką i z dzwonem...

Trzy ciała, w dziwnym takim uścisku splecione, tworzyły jedną całość... Belka, dzwon i ten stary, kołyszący się z nimi człowiek — dawały obraz, jakby żywego dzwonu...

Tak, to był dzwon — człowiek, dzwon żywy, dzwon, który czuł, myślał, cierpiał...

Ksiądz uczuł, że ma nieokreślone jakieś wrażenie cudu i zarazem lęku. Patrzył, ale rozumować nie mógł.

A Kuba tymczasem, upojony graniem, kołysał się dalej i dalej...

— Za Bartka Głowackiego — wymówiły jego usta.

I dzwon zahuczał znowu potężnie i czysto: Bboże! Bboże! Bboże! Bboże!...

— Za Stacha Świstackiego, mówił dalej Kuba.

— Bboże! Bboże! Bboże! trzykrotnie dzwon odpowiedział...

Księdzu łzy stanęły w oczach. Zrozumiał teraz starego dzwonnika... Przypomniął sobie nawet, że to dziś czwartego kwietnia...

I uczuł ogromną chęć wziąć tego starca w ramiona, przycisnąć go do serca i podziękować mu za pamięć, za miłość, za to przypomnienie, podziękować w imieniu tych wszystkich, co już nie pamiętają, w imieniu tych, co mniej coraz, coraz słabiej kochać umieją...

— Kuba! zawołał proboszcz...

W tej chwili Kuba, zbudzony niespodziewanie z ekstazy, zachwiał się na dzwonie, ręce jego wypuściły grubą belkę modrzewiową, rozkrzyżowały się i stary dzwonnik runął głową na dół, tuż niemal pod stopy księdza.

Dwon umilkł.

Ksiądz zdrętwiał. Po chwili wrócił do siebie. Przyklęknął szybko nad Kubą i pochylił się nad jego twarzą. Zust wąskim strumieniem sączyła mu się krew.

— Zgnieciona klatka piersiowa, potrzaskane żebra... zwichnięta ręka... szeptał proboszcz.

Wtem Kuba jęknął cichutko, kilka razy głębiej odetchnął, aż powietrze z chrzęstem i świstem wydobyło się po raz ostatni z płuc, krwią zalanych i uleciało w przestrzeń razem ze słabem, gasnącem brzmieniem Floryana...

Ksiądz przeżegnał się i począł szeptać odmawiać: *Ego te absolvo in nomine Domini...*

I zdawało mu się, że jakies duchy świetlane wypełniają dzwonnice i przychodzą po starego Kubę, aby go zabrać z sobą...

On z nimi już przedtem obcował..

Zdzisław Dębicki.



W wieczór listopadowy.

W wieczór listopadowy wicher rozdąsany
Ogołaca do reszty z suchych liści drzewa
I prusząc drobnym śniegiem pędzi ich tumany;

A młody mróz się bawi; nagie pnie owiewa
Mroźnym tchem, ściska szronem, aż ich dusze z łękiem
Opuszczają konarów wciąż krzepnące trzewa.

W ciemnościach po powietrzu błędzą z smutnym jękiem.
A mróz się chyłkiem skrada, zdradziecko się czai,
Nagle chyżo się ku nim pomknie skrzydłem cienkiem;

Już wpada w sam środek wystraszonej zgrai,
Siecze lodem, na wszystkie rozprasza je strony. —
Kryją się w suchych wierzbach na brzegach ruczaji.

Wtem widzą jakieś światło; przez ciemne zagony
Lecą za niem, — okrutny mróz wciąż na nie dybie, —
Czują ciepło, w izdebce widzą żar czerwony,

Snują się jakieś cienie w człowieczej siedzibie,
Słyszą nieznane dźwięki, — słuchają ciekawie,
Siadłszy cicho na gładkiej przezroczystej szybie.

W izbie to pełga płomień, to bucha jaskrawie,
Fala się jasných blasków rozlewa po chacie,
Ślizga się po powale, podłodze i ławie.

Zacięty mróz czyhając siadł na furtki kracie
I gapiące się dusze napada z nienacka,
Jednym tchem w lód je ścina w księżycu poświacie. —

Stanisław Barącz.



Mowa dzikich plemion, a gwara dzieci.*)

Dzieci posiadają w chwili, gdy zaczynają mówić, swój odrębny język, swoje własne określenia przedmiotów, nieraz tak odrębne, że trudno nieprzyzwyczajonemu do tej gwary pojąć i zrozumieć, o co właściwie rzecz chodzi. Nawet sam sposób opowiadania posiada swą wybitną cechę.

Jest to wynikiem odmiennego sposobu pojmowania i tłumaczenia sobie zjawisk zmysłowych, jeżeli mówimy o sposobie ich opowiadania, lub jeśli chodzi o przekręcanie wyrazów i tworzenie sobie nowych, nieraz zupełnie niepodobnych do brzmień pierwotnych, to przyczynę tego szukać należy w fizyologicznej trudności wymówienia pewnych brzmień mowy, lub w używaniu takich, na których określenie dany język nie posiada żadnych znaków (liter), a których wymawianie nie przedstawia dla dziecka prawie żadnych trudności.

Z biegiem czasu dziecko wymawia słowa coraz wyraźniej, i tak z pierwotnego „baba“ robi się „mama“, z Tarola — Karol, z latalui — latarnia.

Widzimy więc w pewnych okresach rozwoju dziecka *brak* pewnych brzmień w mowie i to właściwych wiekowi. Gdy *rozwój* dojdzie do pewnego stadyum, jest ono w możności wypowiedziania coraz większej ilości brzmień, aż w końcu posiadzie już wszystkie, któremi rozporządzają starsi.

To, co się u dziecka dzieje w miniaturze i w krótkim stosunkowo czasie, to widzimy jako stałą własność dzikich plemion, których rozwój nie doszedł jeszcze zbyt daleko. Brak im w mowie pewnych brzmień, jak znów posiadają takie, które są obce plemionom posuniętym dalej w rozwoju.

Ciekawą tą kwestyą zajął się Dr. H. Gutzmann i przedstawił wyniki swych badań na międzynarodowym kongresie dla psychologii w Monachium w r. 1896.

W pierwszym zeszycie nowego berlińskiego pisma dla pedagogicznej psychologii (*Zeitschrift für pedagogische Psychologie*) podaje wymieniony autor najogólniejsze wyniki swych spostrzeżeń.

*) Artykułem tym rozpoczynamy szereg artykułów z psychologii i psychofizyki. W jednym z najbliższych numerów umieścimy obszerniejszy artykuł o piśmie obłąkanych i ludzi umysłowo zdrowych (*Przyp. Red.*).

Rozróżnia on trzy peryody wydawania głosu u dzieci. Krzyk, jako oznaka niezadowolenia. Gdy do tych dołącza się objawy zadowolenia, następuje okres drugi. W trzecim okresie dziecko stara się już naśladować głosy wydawane przez otoczenie.

Tutaj rozpoczyna się właściwy rozwój mowy, przyczem występuje analogia do mowy dzikich ludów.

Jako cechy charakterystyczne występują:

1. Nieznacznym zasób słów, którego skutkiem jest używanie gestów przy rozmowie, przez dzieci i przez niecywilizowane plemiona.

2. Sposób opowiadania, w którym nieznaczące i mało ważne szczegóły większe znajdują uwzględnienie, niż cechy istotne opisywanego przedmiotu. Dziecko spostrzegłszy np. konia, zajmie się bardziej jego ogonem lub błyszczącą uzdą, niż nim samym. W podobny dzieciom sposób, ze szczególną lubością opowiadają Negrzy lub dżicy plemienia Bakairi.

3. Liczenie dzieci i dzikich plemion. Jedni i drudzy określają większe liczby przez opisanie. Np. siedm przez pięć (pokazując ilość palców u ręki) i dwa. Negrzy na oznaczenie gromady kilkunastu osób, mają jedno tylko określenie: „dużo”. Zupełnie jak dzieci.

4. Zupełny brak lub późne pojawianie się nazwisk zbiorowych.

5. Rysunki dzieci i dzikich. Dziecko chcąc np. narysować ludzką głowę, rysuje koło, a w nim dwa punkty jako oczy, między nimi krótka linja pionowa wyobraża nos, a pozioma usta. Rysunek Negra lub Hottentota nie wygląda inaczej. —

Zastanówmy się teraz nad tem, jakie brzmienia wymawia dziecko najwcześniej, a jakie pojawiają się dopiero później, w miarę postępującego rozwoju.

Tutaj zwrócić wpierrw należy uwagę na to, jakie mięśnie są czynne przy wymawianiu poszczególnych liter. Są nimi mięśnie warg, końca języka i nasady języka.

Największą sprawność mają mięśnie warg i posiadamy już od dziecka największą wprawę w wykonywaniu nimi najrozmaitszych ruchów. Człowiek bowiem, jako zwierzę ssące, używa tych mięśni najpierw od pierwszej chwili życia.

Koniec języka posiada również wielką, jakkolwiek znacznie już mniejszą ruchliwość.

Mięśnie tyłu języka zajmują ostatnie miejsce.

Łatwo się o tem przekonać, gdy bowiem końcem języka wykonujemy z wielką łatwością rozmaite ruchy, staje się to niemożliwym, gdy wysuniemy z ust cały język.

Odpowiednio do tego, cośmy powiedzieli wyżej, pojawia się u dziecka *kolejno* zdolność wypowiadania *tych* dźwięków, do których potrzebną jest czynność warg, końca języka lub tylnych jego części.

Wargami, za pomocą rozmaitego stopnia ich rozszerzenia lub zwężenia i przez najprostsze wysłanie dźwięcznej lub bezdźwięcznej fali powietrza, wypowiadamy: a, o, u, w, f, b, p, m.

Wymawianie tych brzmień przedstawia dla dziecka najmniejsze trudności, dla tego też pojawiają się one najwcześniej.

Podobnie ma się rzecz i u ludów niecywilizowanych. Z wymienionych spółgłosek należy zwrócić uwagę na brzmienie „m“, którego używają różne dzikie plemiona ze szczególną lubością. Wymawianie jego, zwłaszcza jeżeli ono jest zbliżone do mruku, nie przedstawia żadnych trudności. W ogóle brzmienia, tej pierwszej kategorii znajdziemy zawsze u ludów, stojących najniżej pod względem cywilizacji.

Znacznie później od pierwszych pojawiają się brzmienia te, które wymagają pomocy końca języka. Te będą należeć do drugiej kategorii. Są to przedewszystkiem spółgłoski syczące, a zatem polskie: „s, sz“; niemieckie: „sch“; francuskie: „j“.

Brzmień tych brak zupełnie w dyalektach Rimatara, Rurutu, Tubuai, Raiwawai, podobnie jak u plemienia Maori w Nowej Zelandyi.

Ludy te bardzo pierwotnej cywilizacji stoją niejako na tym stopniu rozwoju, na którym znajdują się dzieci *nie* wymawiające jeszcze spółgłosek syczących.

Spółgłoski l, r, należą obok syczących również do tych, do których wymawianie używa się końca języka. Głos: „l“, jako znacznie w wymowie łatwiejszy, zjawia się u dzieci znacznie pierwej niż: „r“, do którego wygłoszenia potrzeba już zębów.

Dlatego też brzmienie: „l“ pojawia się u ludów mniej cywilizowanych niż brzmienie „r“.

Tak znajdujemy l w języku Samoa, a nie ma go w dyalekcie Mori w Nowej Zelandyi.

Przejdźmy teraz do trzeciej grupy brzmień, t. j. do takich, których wymawianie wymaga skurczów mięśni tyłu języka.

Ponieważ, jak powiedzieliśmy wyżej, mięśnie te są najmniej ruchliwe, a używanie ich przedstawia dosyć znaczne tru-

dności, przeto brzmienia trzeciej kategorii, pojawiają się u dzieci najpóźniej, a mianowicie, gdy te już znacznie postąpiły w rozwoju.

Tutaj należą brzmienia: „g, k“. Te występują u dzieci bardzo późno. Brakują też one u bardzo wielu ludów niecywilizowanych. Tak tedy brakują oba brzmienia w dyalektach Ramatara, Ruturu, Tubuai, Raiwawai i w. i.

W języku Samoa znajdujemy brzmienie pośrednie między: „k“ a „t“, jest to więc brzmienie zbliżone do węgierskiego: „gy“. W dyalekcie Maori, który powstał ze Samoa, brak jeszcze brzmienia „g“. W każdym razie brzmienia zbliżonego do „k“ w języku Samoa przed mniej więcej stu laty nie było ani śladu. Pojawiło się ono dopiero wówczas, gdy przed trzydziestu laty kilku ludzi na wyspie Upolu zaczęło używać k zamiast t. Jednakowoż przy uroczystych mowach, zawsze jeszcze używa się brzmienia t zamiast k.

Zupełnie tak samo jak Samończycy postępują i dzieci. I one mieszają w pewnym okresie swego rozwoju głos „k“ z „t“:

Czyż raz słyszeliśmy, jak dziecko zamiast: „kopi“ mówi „topi“, „Tarol“ zamiast „Karol“?

Wieku oczywiście dla każdej z trzech powyższych grup oznaczyć niepodobna, gdyż rozwój umysłowy dziecka jest rzeczą czysto indywidualną i często zdarzyć się może, iż młodsze jest znacznie więcej rozwinięte niż starsze.

Wszystko, co powiedzieliśmy wyżej, tyczy się tych dźwięków, na które posiadamy znaki pisarskie.

Prócz tych jednakowoż istnieje jeszcze cały ich szereg wydawanych przez dzieci, które nie istnieją w mowie dorosłych.

Tutaj w pierwszym rzędzie zaliczyć należy głosy gutturalne, (głęboko gardłowe), odpowiadające podobnym dźwiękom w języku arabskim lub hebrajskim. Powstają one przez przyciśnięcie podstawy języka silnie do ściany rury oddechowej.

Podobne głosy wydają często niem.

Gdy jednakowoż głosy gutturalne, wydawane przez dzieci w pierwszych stadyach ich rozwoju, są do dnia dzisiejszego trwałą własnością wielu języków ludów cywilizowanych, istnieje inna grupa dźwięków, pojawiająca się stale u dzieci, której nie napotykamy nigdzie w mowach cywilizowanych ludów, natomiast obserwujemy stale ich istnienie u najrozmaitszych dzikich plemion.

Są to najrozmaitsze brzmienia podobne do cmokania lub mlaskanie językiem.

Dziecko wydaje te dźwięki już bardzo wczesnie i to z szczególnem upodobaniem. Z dźwięków tych pozostają tylko nieznaczące ślady z postępującym rozwojem, jako pocałunek par distance, jako objaw silnego zdziwienia, cmokamy na konia, chcąc go zmusić do biegu itp.

Wszystkie te dźwięki znajdują się w pełnej sile u Hottentotów plemienia Nama.

Dlatego dziecko europejczyka uczy się z wielką łatwością języka Nama-Hottentotów, gdyż z pewnego rodzaju zadowoleniem naśladuje ich cmokania. Chowane w styczności z dziećmi plemienia Namaqua, nauczy się ono prędzej cmokania Hottentotów niż wymawiać: „mama“ lub „papa“, a wymawia te dźwięki tak poprawnie, że sami Hottentoci mówią, że gdyby nie odmienna postać, byłoby doskonałymi Khoi-Khoi (człowiek-człowiek, nadczłowiek) jak się sami nazywają.

Z tych kilku zestawionych uwag widzimy, jak wielkie zachodzi podobieństwo pomiędzy językiem dzikich lub słabo ucywilizowanych plemion, a gwarą dzieci.

Przechodzi ona w swoim rozwoju, zauw. się w doskonałą mowę; przekształci, bardzo ciekawe dla przyrodnika stadya, które każą przeprowadzić pewne podobieństwo pomiędzy danym stanem rozwoju dziecka, a stopniem cywilizacji odpowiednich ludów, żyjących jeszcze na łonie natury.

B.

Rok 1863.

W każdym stowarzyszeniu, w każdym społeczeństwie, w każdym związku ludzkim, czy nazywa się narodem, państwem, czy inaczej, pierwszym i niezbędnym obowiązkiem wszystkich bez wyjątku członków, towarzyszy, obywateli jest utrzymanie związku, a w razie potrzeby poświęcenie się dla dobra ogólnego.

Od niepamiętnych czasów wszyscy ludzie na świecie trzymali się tej zasady: na niej opierało całe wychowanie pokoleń, niemasz książki szkolnej gdzieby jej nie wygłaszano; *salus rei publicae suprema lex* było i jest hasłem wszystkich cywilizowanych i niecywilizowanych ludów. Trudno zatem zrozumieć, jak może się sumienie publiczne spaczyć do takiego stopnia,

by usiłowania dążące do ratowania wspólnej ojczyzny spotykały się z zawziętym szkalowaniem, a praca podjęta ku zagładzie narodu była jawnie chwaloną i zalecaną.

Tak jednak często bywało na świecie w chwilach zwątpienia i upadku, tak się teraz dzieje u nas. Obrona Ojczyzny, będąca sama przez się obowiązkiem każdego obywatela, spotykała się zawsze po rozbiorze, a nawet przed rozbiorem z zawziętą i oszczerczą naganą; tak było w 1791, w 1794 roku, w 1812, w 1831, a żadna z walk narodowych nie była tak wytrwale oplwana, jak powstanie 1863 roku. Ci, którzy sami się pasują na sędziów i cenzorów, nie śmieli jednak dotychczas wypowiedzieć jawnie prawdziwej przyczyny swojego oburzenia, wiedząc, że naród nie dojrzał dostatecznie, nie jest dosyć wytrzeźwionym, i że dopiero po wytrwałem i systematycznem demoralizowaniu kilku pokoleń, można się będzie przyznać do zbawiennej zasady ugodowców: nie jesteśmy już Polakami, jesteśmy Rosyanami, Austryakami, Niemcami i wszelkie powstanie jest zdradą kraju, najoczywistszym *hochverathen*. Takie chwalebne wypowiedzenie swoich logicznych przekonań byłoby, zdaniem tych panów, jeszcze przedwczesnem; ograniczono się więc zawsze dowodzeniem niemożliwości zrzucenia jarzma, nierozsądku próbowania zbrojnego oporu, szaleństwa, warcholstwa powstańców i t. p. Głównym zaś argumentem było kategoryczne twierdzenie, że powstanie nie mogło się udać, a dowodem tej niemożliwości fakt oczywisty — że się nie udało. Gdy dodamy do tego patetyczne opisanie okropnych skutków szalonych powstańczych wybryków, potok łez wylanych nad nieobliczonemi kłeskami kraju, wyliczenie tysięcy ofiar, i t. d. i t. d. będziemy mieli cały arsenał wrogów niepodległości narodowej i stronników najzupełniejszego pogodzenia się z teraźniejszym losem narodu, wyznawców religii spełnionego faktu.

Nie myślimy wcale stanąć w obronie zasad wypowiedzianych na początku tego artykułu; kto ich nie wyznaje przekonany nie będzie, kto w nie wierzy nie potrzebuje takiej obrony. Będziemy się ściśle trzymali owych wszechwładnych spełnionych faktów i przypomnąć chcemy teraźniejszemu pokoleniu to, o czem ono zapomniało, to o czem nie wolno było mu nawet wiedzieć naprzykład w zaborze moskiewskim, a mianowicie; jakie dziejowe wypadki popchnęły ludzi 1863 roku do powstania, jakie świeże wówczas a doniosłe historyczne fakta przekonywały, że tylko takim sposobem można było coś zrobić dla kraju, że dro-

ga Leonidasów, Milcyadesów, Wilhelmów Tellów i Waszyngtonów była jedyną możliwą i godziwą drogą do wolności, tak samo w XIX-tym wieku po Chrystusie, jak w V-tym przed Chrystusem.

Po sprzeniewierzeniu się francuskiej rewolucyi 1830 roku, po zgnieceniu powstania Listopadowego w Polsce, po zuiweczeniu usiłowań patryotów włoskich i stłumieniu liberalnej opozycji w większej części Europy, zdawało się przed 1848 rokiem, że szaleństwem było by spróbowanie obalenia absolutyzmu; panowało ono samowładnie w dwóch trzecich częściach Europy, a nieliczne konstytucyjne państwa stałego ładu kłaniały mu się najuniżeniej. Rosya, Austria i Prusy przedstawiały, razem wzięte, taką kolosalną potęgę, że niczego podobnego w teraźniejszych czasach na świecie niema. Nie szczędzono też wówczas i z daleko większą pozorną sfluszością niż teraz, gwałtownych oskarżeń i obelg takim szaleńcom, warchołom i t. p. jak Mazzini, Wiśniowski, Mierosławski i im podobni: twierdzono, że żadne powstanie polskie, węgierskie, włoskie, rumuńskie et cetera udać się nie może, że oczywistym zdrajcą kraju, potworem, półgłówkiem jest każdy, który by śmiał myśleć o czemś podobnem.

Minęło lat kilka — i święty fakt dokonany pokazał, że rozumne wywody trzeźwych i rozsądnych polityków były jedynie szalonemi, dziecinnymi mrzonkami. Prócz świętej Rosyi, absolutyzm runął wszędzie, znikła chłopska niewola, wyrosły konstytucye jak grzyby po deszczu; z ogromnej wszechświatowej potęgi utrzymał się jeden carat i ten został haniebnie upokorzony pod Sewastopolem. A któż to dokonał? Może jakiś geniusz wojenny na czele niezwycięzonych hufców? Może nowy Napoleon, albo Aleksander Macedoński? Bynajmniej Kilku zapaleńców na czele ulicznej gawiedzi obaliło wiekową niewolę; prosty kapitan kupieckiego okrętu, Józef Garibaldi zdmuchnął kilka księstw i królestw na czele tysiąca, wyrażnie jednego tysiąca ochotników; naród włoski, rozdzielony od kilku wieków między sąsiadami, jak nasza Polska, odzyskał niepodległość i zjednoczył się w jedno silne państwo, czego nie mógł dokonać w przeciągu tysiąca kilku set lat. Słaba węgierska narodowość, licząca zaledwie cztery miliony, ledwo, że nie obaliła potężnego, trzydziestomilionowego austriackiego cesarstwa, i tylko przy pomocy ośmdziesięciu milionów poddanych Mikołaja Petersburskiego można ją było chwilowo podbić; nie chcieli się jednak Węgrzy

pogodzić z losem, i terażniejszy ich stan pokazuje aż nadto, że ich warcholstwo doskonale im się udało.

Zdaje się, że powyższe wypadki, które się zdarzyły w oczach zdziwionego świata w przeciągu kilkunastu lat, mogły aż nadto przekonać każdego zdrowo myślącego człowieka nie tylko o zupełnej możliwości zbrojnego powstania, ale o wielkiem prawdopodobieństwie zwycięstwa. Przyczyną niepowodzenia mogło być więc jedynie złe kierownictwo i sprzeniewierzenie się rewolucyjnym, postępowym zasadom. Trudno było zwyciężyć, kiedy na czele powstania było stronnictwo, które od dwóch wieków, jeszcze przed rozbiorem, na klęczkach prosiło carów moskiewskich, by raczyli zagarnąć pod swoje panowanie anarchiczną Rzeczpospolitą Polskę, kiedy w spisie członków Rządu Narodowego figurowało nazwisko tych, którzy prosili Katarzynę II., by łaskawie raczyła pozwolić kochankowi swemu przyjąć polską koronę, potem służyli Aleksandrowi I przeciw Dąbrowskiemu, i chcieli w 1831 roku wojować przeciw Mikołajowi, carowi moskiewskiemu, w imię polskiego króla Mikołaja. Nie mogło się udać powstanie, którego kierownicy przeklinali zwyciężkich w 1848 roku rewolucjonistów, a trzymali z kosmopolityczną reakcją, uważając ów właśnie carat, przeciw któremu powstaliśmy, za jedyną deskę ratunku. Ale że mogłoby powstanie zwyciężyć, tego najwyraźniej dowiódł sam przeciwnik, sam car moskiewski, bo uratował się jedynie tem, że wywiesił chorągiew, której się powstanie sprzeniewierzyło, że został znienucka carem rewolucjonistą, obrońcą i zbawcą ciemzonego ludu, carem oswobodzicielem — był to ostatni sposób, wypróbowany już w 1846 roku przez Meternicha, a w roku 1848 przez Stadioną, i tylko taki wykręt mógł ochronić Gotorpa od niechybnej ruiny.

(C. d. n.)



Kronika.

Uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza — Pogrzeb w Warszawie — Samobójstwo ucznia Żupnika — Nowe czasopisma — Stan. Szczepanowski — Teka.

Dzień odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie obchodziła uroczystość młodzież lwowska. Czytelnia akademicka wydała w dniu tym do kolegów akademików i uczniów szkół średnich odezwy następującej treści:

Koledzy!

Jak wam wiadomo, w dniu 24. grudnia b. r. odbędzie się w Warszawie odsłonięcie pomnika Mickiewicza. Chwila to wielka, uroczysta. To też i my pragniemy ją uczcić. Sądzymy zaś, że głębia naszych uczuć wyrazi się najlepiej nie przez szumne uroczystości i mowy, ale w myśl hasła rzuconego w Warszawie, „przez cichą, a spokojną modlitwą.“

„W chwilach uroczystych najwymowniejszym słowem bywa milczenie, a cisza i spokój najpodnioslejszym uczucia objawem.“

Kierując się też tem hasłem urządzamy w tym dniu cichą mszę w kościele OO. Dominikanów o godzinie 10. rano. Sądzymy, że cała młodzież bez różnicy wieku i zapatrywań weźmie udział w tej podniosłej uroczystości.

Czytelnia akademicka.

Nabożeństwo, które się odbyło przy licznych udziale młodzieży, miało cechę poważną i uroczystą. Po mszy popłynął z ust zgromadzonych podniosły hymn: „Boże coś polskę.“

* * *

W Warszawie odbył się przed kilku dniami pogrzeb studenta V. kursu medycyny Słońskiego, który więziony w cytadeli zaraził się tyfusem i zmarł w szpitalu św. Ducha. Pogrzeb „cytadelisty“ odbył się z udziałem olbrzymich tłumów młodzieży. Trumnę niesiono na ramionach od szpitala na cmentarz, gdzie po złożeniu w mgnieniu oka zarzucono kwiatami i wieńcami. Nad grobem jeden ze studentów wypowiedział mowę. Tegoż samego dnia policya aresztowała dwudziestu studentów.

* * *

Samobójstwo ucznia gimnazjum przemyskiego Żupnika poruszyło żywo opinię. Nie mając dość wiadomości nie chcemy rozstrzy-

gać, co było powodem smutnego faktu. Nie chcemy także w krótkiej kronikarskiej wzmiance zwalczać tej fałszywej egzaltacji młodzieży, która popycha ją do tego kroku. Jest to ciężka rana; leczyc trzeba ją długo wpojeniem w młodzież poczucia obowiązków wobec społeczeństwa. Co jest jednak bijącym w oczy, to postępowanie władz w takich razach. Władze zadowolniły się zatuszowanie sprawy. A przecież godność stanu nauczycielskiego wymagała i wymagać będzie zawsze wyświeatlenia wszystkich szczegółów, chociażby najboleśniejzych. Ścisłe i surowe śledztwo mogło jedynie uspokoić ogół, mogło wykazać, na kogo wina krwi przelanej spada.

Chleb nauczycielski jest gorzki. Dla karyery idzie się na prawo nie na filozofię. Pocóż zatem zawód ten czynić jeszcze bardziej ciężkim, tak ciężkim, że krzywi nieraz charaktery ludzi, co gotowi byli młodzieży poświęcić najlepsze swe siły i zapal najgorętszy.

Pocóż dopuszczać do tego, aby nieufność i niechęć, jaką młodzież żywi nieraz do jednostek, rozszerzała się i przygniatała swem jarzmem cały stan nauczycielski.

* * *

W Krakowie wyszły już 3 numera „Młodości“ czasopisma akademickiego. Wielkie zainteresowanie i żywą dyskusję w kołach młodzieży wywołały zwłaszcza artykuły „Po ankiecie szkolnej“ i „O serwiliźmie.“

We Lwowie okazał się 2. numer „Przyjaciela młodzieży“ i zawiera: Hellada, a Rzym p. K. Fischera — Śmierć za siostrą p. K. — O wyspie Kubie — Margiet p. T. Piniego — Z higieny dr. W. — Z dziejów malastwa polskiego — J. Norblin. — Legenda o św. Prokopie p. Krczeka. — Mowa zwierząt p. L. Weigla.

W pierwszych dniach b. m. pojawił się okazowy numer „Promienia“, miesięcznika poświęconego młodzieży szkolnej. O ile wnieść możemy z pierwszego numeru pismo to (będące nawiasem powiędziawszy odłamem naszego czasopisma) ma na celu, tak jak Teką, budzić młodzież z drzemki i służyć sprawie postępu. Roboty dla obu pism nie zabraknie!

* * *

Chęć zupełnego usunięcia się z życia publicznego posła Stanisława Szczepanowskiego odczuł ogół myślący bardzo żywo i bardzo boleśnie. Byłaby to ogromna strata dla społeczeństwa ga-

licyjskiego nie obfitującego w ludzi niepospolitych i wielkich, strata jednego z najdzielniejszych szermierzy w walce z „nędzą galicyjską“. Przed laty przeszedł wzdłuż Galicyę z młotkiem górniczym w rękę i z głową pełną myśli i nadziei zamieniania podgórze karpackiego w ludny i bogaty kraj wielkiego przemysłu.

Niepowodzenia finansowe St. Szczepanowskiego wykazują o ile wielkie te plany były niepraktyczne i ryzykowe. W każdym jednak razie dziesiątki milionów wydarto ziemi, podniesiono ekonomicznie całe części kraju i stworzono nową, dotąd u nas nieznaną klasę przemysłowców fachowych. Historia i statystyka kiedyś będzie oceniać niezamknięte dotąd zasługi Szczepanowskiego na polu przemysłu, polityki i publicystyki; dla współczesnych, a przedewszystkiem dla młodzieży zdolnej najżywiej odczuć uczuciową stronę pracy St. Szczepanowskiego, pozostanie on zawsze ideałem rwącym ku sobie oczy i serca.

* * *

W następujących numerach Teki będzie ogłoszony konkurs dla prenumeratorów tego czasopisma na pytanie z zakresu nauk przyrodniczych. Nagrodę stanowić będą książki wartości 10 złr. dowolnie przez odznaczonego wybrane. — W czasopiśmie poruszymy obszernie kwestyę wychowania fizycznego. Artykuły z dziedziny gimnastyki, szermierki, sportu kolarskiego, łyżwiarstwa i t. d. pisać będą ludzie znani na tem polu. — Zwróciliśmy się również do szeregu wybitnych ludzi w naszym kraju z prośbą o artykuły dotyczące młodzieży.

Chcemy przez to i im dać sposobność bezpośredniego wpływu na młodzież i kolegom, przez podanie różnych sądów o celach i dążnościach młodzieży, ułatwić wyrobienie samodzielnego zdania w tym kierunku.

* * *

Zwracamy uwagę kolegów na artykuł o powstaniu r. 1863 napisany przez jednego z głównych członków organizacji przedpowstańczej, zesłanego następnie na Sybir.

